


GWIAZDY ★ ROMANSU

Bezcenny świadek

GINNA GRAY



Czy wiesz dlaczego
książki Wydawnictwa Harlequin
czytają miliony kobiet?

Najczęściej wybierane odpowiedzi:

- lubię szczęśliwe zakończenia
- wprawiają mnie w radosny nastrój
- pozwalają oderwać się od rzeczywistości
- zapewniają miły relaks

HARLEQUIN®

dla każdej kobiety, każdego dnia...

Więcej informacji znajdziesz na
www.harlequin.com.pl

Bezcenny świadek

Ginna Gray

Bezcenny świadek

Przełożyła:
Wiktoria Mejer



Tytuł oryginału: The Witness

Pierwsze wydanie: MIRA Books, 2001

Redaktor serii: Grażyna Ordęga

Korekta: Ewa Popławska

© 2001 by Ginna Gray

© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2007

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Znak firmowy MIRA jest zastrzeżony.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Rakowiecka 4

Skład i łamanie: COMPTExT ®, Warszawa

Druk: ABEDIK

ISBN 978-83-238-5127-1

MIRA 6

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Za drzwiami rozległy się dwa strzały – jeden po drugim.

Lauren Brownley gwałtownie poderwała głowę, jej spojrzenie padło na odbicie w lustrze, w którym ujrzała pobladłą twarz i wielkie oczy, pełne zgrozy. Do tej pory słyszała strzały jedynie na filmach, nigdy w rzeczywistości, lecz natychmiast rozpoznała ten odgłos i zrobiło jej się zimno.

W pierwszym odruchu chciała rzucić się do ucieczki. Czym prędzej zakręciła kran i w panice rozejrzała się po damskiej toalecie, szukając bezpiecznego wyjścia, lecz zobaczyła jedynie znajdujące się dość wysoko okno, wychodzące na wąską alejkę między budynkami.

Za drzwiami rozległ się rozdzierający krzyk, a Lauren poczuła, jak włosy dosłownie stają jej dęba. Kurczowo zacisnęła mokre dłonie na brzegu umywalki i wbiła spojrzenie w drzwi. Był niemal

środek nocy, z lokalu „Club Classico” dawno już wszyscy wyszli, jedynie w biurze mógł jeszcze siedzieć właściciel, Carlo Giovesi, z którym Lauren pożegnała się dziesięć minut wcześniej.

Boże wielki, a jeśli do lokalu zakradł się włamywacz i Carlo natknął się na niego? A jeśli tak, to który został postrzelony? Ponownie rozejrzała się dookoła w daremnej nadziei na znalezienie drogi ucieczki, a potem na palcach podeszła do drzwi, położyła dłoń na klamce i już miała je pchnąć, gdy dosłownie w ostatnim momencie powstrzymała ją myśl, że jeśli tam rzeczywiście znajduje się uzbrojony napastnik, to pokazywanie mu się jest ostatnią rzeczą, jaką powinna zrobić. Serce omal nie wyskoczyło jej z piersi, gdy zdała sobie sprawę z tego, jak blisko była popełnienia straszliwej pomyłki, być może śmiertelnej.

Krzyk przeszedł w przejmujący jęk. Lauren zgasiła światło w toalecie, zagryzła wargi i uchyliła drzwi o milimetr.

Zamarła. Na parkiecie, nieopodal fortepianu, stało trzech mężczyzn. Dwóch czasami widywała w klubie, lecz nie znała ich, trzecim był Carlo i to on trzymał broń. U ich stóp wił się konwulsyjnie jakiś człowiek, trzymając się za kolana, a Lauren przeżyła wstrząs, gdy zrozumiała, że mu je prze-strzelono. Kiedy rzucający się ranny obrócił się na moment twarzą w jej stronę, zdumiała się jeszcze bardziej. Frank Pappano!

Dwa miesiące wcześniej, gdy zaczęła występować w klubie, grając na fortepianie, Carlo przedstawił jej Franka jako swego partnera w interesach. Lauren często widywała go w lokalu, lecz wiedziała o nim niewiele. I nie chciała wiedzieć więcej. Frank był dużo młodszy od Carla, miał trzydzieści parę lat, śniadą cerę i mógł się podobać. Przy paru okazjach próbował flirtować z Lauren, ona jednak udawała, że niczego nie zauważa, gdyż wydawał jej się zimny, pozbawiony serca i właściwie na sam jego widok przechodziły ją nieprzyjemne ciarki. Niemniej nawet ktoś taki jak on nie zasłużył na to, by mu przestrzelić kolana. Nie mogła uwierzyć, że Carlo okazał się zdolny do takiego okrucieństwa.

Oparła czoło o framugę i zacisnęła powieki. Dobry Boże, ależ ona była głupia i naiwna! Czytała gazety, słyszała, co ludzie mówią, widziała, jakie podejrzane typy przychodzą do biura jej szefa, lecz zamykała oczy i uszy na wszystko, nie chciała o niczym wiedzieć. Zupełnie jak struś, który wsadził głowę w piasek, pomyślała, głęboko zde gustowana.

Owszem, czuła w głębi serca, że coś jest nie tak, ale woląa nie zgłębiać tematu i konsekwentnie odsuwała od siebie nawet najmniejsze podejrzenia, gdyż po tym wszystkim, co Carlo dla niej zrobił, nie chciała być niełojalna. I widzisz, dokąd zaprowadziła cię twoja ślepotą, zgaśniła się w myślach. Westchnęła ciężko.

– Postrzeliłeś mnie! Jezu Chryste, Carlo! Dlaczego? Och, kurwa, moje nogi! Moje nogi!

Carlo potrząsnął imponującą jak na swój wiek grzywą srebrnych włosów, która wraz z charakterystycznymi rysami twarzy nadawała mu wygląd surowego patriarchy. Powoli rozciągnął wargi w złowieszczym uśmiechu.

– Nie baw się ze mną w kotka i myszkę, Frank. Doskonale wiesz, dlaczego. Okradałeś mnie, a ja na to nie pozwolę.

Nie odrywając wzroku od leżącego, strzelił palcami, a wtedy jeden z mężczyzn podał mu kwadratowy pakuneczek owinięty w folię. Carlo otworzył pakunek, wyjął z niego trochę białego proszku i posypał nim Franka jak śniegiem.

– Ta ostatnia partia koki, którą mi dostarczyłeś, składa się głównie z cukru. – Fachowo zważył paczuszkę na dłoni. – Stałeś się zbyt chciwy i to cię zgubiło. Gdybyś działał ostrożniej i nie doprowadził aż tak dużo, kto wie, czy by ci się nie upiekło? Dureń z ciebie.

Nagle zmienił się na twarzy i z furią kopnął rannego w kolano. Frank zawył, a Lauren włosy stanęły dęba na głowie.

– Ty żalosny fiucie, naprawdę myślałeś, że gwizdniesz połowę mojej koki i ujdzie ci to na sucho? – warknął.

– Nie, Carlo, niczego nie gwizdnałem! Człowieku, przysięgam na Boga! T-to pewnie ci choler-

ni dostawcy, t-to oni cię oszukują, nie ja, wiesz, że ja bym tego nigdy nie zrobił! O Chryste, moje kolana!

– Zaczynasz mnie wkurzać. Zostało ci mało czasu.

Chociaż w lokalu panował półmrok, Lauren ujrzała wyraźnie, jak twarz Franka robi się szara niczym popiół.

– Wyświadczam ci przysługę. Wiesz, że już dawno przestałem brudzić sobie ręce, ale dla ciebie zrobię wyjątek, bo to sprawa osobista. Dlatego nie zleciłem tego nikomu innemu. Jestem ci to winien.

– Jezu, Carlo, wybacz mi – wybełkotał Frank.
– Ja nie chciałem, ja naprawdę nie chciałem. Wybacz mi. Nie zabijaj mnie. Proszę, nie zabijaj mnie.

– Pracowałeś dla mnie przez tyle lat. Zabrałem cię z ulicy, kiedy byłeś dzieckiem, nauczyłem cię wszystkiego, traktowałem cię jak syna, ty pieprzony draniu!

– Carlo, błagam, nie rób tego! To się nigdy nie powtórzy, przysięgam, przysięgam na Boga! Zrobię wszystko, co zechcesz, wszystko! Tylko mnie nie zabijaj! – Jego wykrzywiona twarz była cała złana potem.

– Oszczędź sobie i nam zbędnej gadaniny. Byłeś już trupem, gdy okradłeś mnie po raz pierwszy. Pozostaje tylko ustalić, kiedy i jak umrzesz, a to zależy od ciebie. Powiesz, gdzie

schowałeś mój towar, to zastrzelę cię od razu. Zaczynaj kręcić, a wkrótce sam będziesz błagał, żebym cię zabił.

– Chryste, człowieku, wysłuchaj mnie!

– To jedyny wybór, jaki ci pozostał – oznajmił Carlo z lodowatym spokojem. – Ostrzegam cię, że jeśli mnie okłamiesz, zginie również cała twoja rodzina. Wcale nie chcę tego robić, bardzo lubię Marię oraz małego Franka i Maria. Nienawidzę zabijać kobiet i dzieci, ale wiesz, że nie mam zwyczaju rzucać czcnych pogroźek, dlatego jeśli nie chcesz, żeby twoja śliczna żona oraz twoi uroczy synkowie ucierpieli, nie okłamuj mnie. – Carlo nachylił się z uśmiechem. – Masz dokładnie trzy sekundy. Albo mi powiesz, gdzie znajdę towar, który mi ukradłeś, albo następny strzał dostaniesz prosto w jaja.

Lauren obserwowała całą tę scenę z kompletnym niedowierzaniem i narastającym przerażeniem. Widziała, jak Frank zaczyna się trząść i jak zaciska powieki. Wymamrotał coś pod nosem, przeżegnał się, potem wziął głęboki oddech.

– To... To jest w magazynie w Patton przy Trzeciej Wschodniej.

Ledwie zdążył to powiedzieć, padł trzeci strzał i na czole Franka pojawiła się dziura. Choć Lauren wiedziała, czego się spodziewać, podskoczyła i gwałtownie wciągnęła powietrze. Za późno zakryła usta dłonią.

Frank rzucił się konwulsyjnie, po czym znieruchomiał, z dziury na czole popłynęła krew. Lauren patrzyła na zabitego, czując, jak robi jej się niedobrze.

– Co to było? – Carlo bystro rozejrzał się dookoła, wreszcie jego wzrok spoczął na drzwiach toalet, najpierw męskiej, potem damskiej.

Lauren drgnęła i cofnęła się, śmiertelnie przerażona. Właśnie była świadkiem morderstwa popełnionego z zimną krwią! Musi natychmiast wyostać się stąd, nim ci trzej odkryją jej obecność! Obejrzała się w stronę okna, zza którego sączyła się żółtawa poświata od latarni w alejce poniżej. Nawet gdyby zdołała podciągnąć się tak wysoko, nie zdąży uciec, nim ktoś zajrzy do toalety. Poczula przyływ paniki, lecz zdołała się opanować. Myśl, kobieto! Myśl! Musi być jakieś wyjście! Myśl!

– Ale co, szefie? Ja nic nie słyszałem.

– Czy stały jakieś samochody na parkingu, kiedy przyjechaliście?

– A ja tam wiem? Wprowadziliśmy Franka tylnymi drzwiami, jak pan kazał.

– To wyjdź i zobacz. Tony, sprawdź kible, ja przeszukam lokal.

Boże, Boże, co robić?! Lauren z rozpaczą załamała ręce, spojrzała na kabiny, ale odrzuciła pokusę ukrycia się w którejś z nich, gdyż wiedziała, że Tony na pewno zajrzy do każdej.

Podskoczyła, gdy naraz za ścianą rozległ się łomot, potem następny. Zrozumiała, że ten oprych jest w męskiej toalecie i kopniakami otwiera drzwi kabin.

Wahała się przez ułamek sekundy, potem podbiegła do okna, otworzyła je na tyle szeroko, na ile zdołała, zawróciła do umywalki, chwyciła torebkę, podkasala długą wieczorową suknię, otworzyła drzwi szafki znajdującej się pod umywalką i wcisnęła się do środka, po raz pierwszy w życiu ciesząc się z tego, że jest niska i drobna.

Ledwie zdążyła zamknąć ze sobą drzwiczki, do łazienki wsunęło się łapsko, wymacało kontakt na ścianie i zapaliło światło. Wąski promień wpadł do kryjówki Lauren przez szczelinę w drzwiach szafki. Wstrzymała oddech i próbowała wtopić się plecami w ścianę. Widziała przez szczelinę, jak Tony najpierw ostrożnie zagląda do toalety, a potem wślizguje się do środka, trzymając broń w ręku. Przypominał jej węża, jego zimne oczy poruszały się nieustannie, ruchy były niezwykle płynne, złowieszcze.

Serce biło jej tak mocno, że chyba musiał to słyszeć – a przynajmniej tak jej się zdawało. Na szczęście przeszedł obok szafki i Lauren przestała go widzieć. Po chwili rozległ się znajomy łomot. Raz. Drugi. Trzeci. Za każdym razem Lauren kulila się coraz bardziej. Przycisnęła dłoń do ust, żeby nie krzyknąć.

– Znalazłeś coś, Tony?

– Nie, panie Giovesi. Nic. – Tony znów pojawił się w polu widzenia Lauren. – Jeśli ktoś tu był, to uciekł przez okno, bo jest szeroko otwarte.

– Cholera!

W drzwiach łazienki stanął Carlo, spojrzął w stronę otwartego okna, skinął na Tony'ego lufą broni.

– Wyjdź i sprawdź, czemu Leo jeszcze nie wrócił.

– Już jestem, szefie. Na parkingu stoi czerwony lexus.

– Niech to szlag! To wóz Lauren.

– Tej szykownej cizi, która tu gra na fortepianie?

– Tak. Myślałem, że kwadrans temu poszła do domu, widać wróciła skorzystała z toalety. – Carlo westchnął. – Wielka szkoda, ona ma wyjątkowy talent.

– Co mamy robić, szefie?

– Przede wszystkim usuńcie stąd Franka i sprzątnijcie ten cały bałagan. Kiedy skończycie, zabierzcie z parkingu lexusa. Tony, pojedziesz do mieszkania panny Brownley. Musiała stąd uciec przerażona, a przerażony królik zazwyczaj chowa się w norze. Pewnie pobiegła spakować kilka drobiazgów, nim zniknie. Ale to bystra dziewczyna, więc kiedy przestanie panikować i zacznie myśleć, dojdzie do wniosku, że zamiast zwiewać,

lepiej jest powiadomić gliny. Musisz ją znaleźć, zanim pójdzie na policję.

– I co mam z nią dalej zrobić?

Carlo patrzył na niego w milczeniu przez kilka sekund.

– Zabij ją.

Lauren mocniej przycisnęła dłoń do ust, instynktownie kuląc się jeszcze bardziej.

Długo po tym, jak światła pogasły, a męskie głosy ucichły, Lauren siedziała w swojej kryjówce, drżąc na całym ciele i czując, jak serce tłucze jej się w piersi niczym przerażony ptak. Otaczała ją ciemność i cisza. Nadstawiała uszu, nasłuchując podejrzanych odgłosów, lecz dobiegał ją jedynie jednostajny szmer klimatyzacji, mimo to nadal nie ruszała się z miejsca, obawiając się pułapki. Carlo mógł przycząć się gdzieś w lokalu, czekając, aż ona się zdradzi ze swoją obecnością.

W końcu jednak niewygodą zaczęła dawać jej się we znaki, i okazała się silniejsza niż przerażenie. Lauren miała zupełnie zdrętwiałe nogi, rura kanalizacyjna wbijała jej się w biodro, do tego pomimo działającej klimatyzacji zrobiło się dziwnie zimno. Uświadomiła sobie, że tamci zostawili otwarte okno i już od tego momentu nie przedstawiała o nim myśleć, jakby wzywało ją z przemożną siłą. Znajdowało się dość wysoko i nie było

duże, lecz wiedziała, że zdołałaby się przez nie przecisnąć.

Jeśli jednak Carlo lub któryś z jego ludzi znajdował się nadal na terenie nocnego klubu, usłyszy ją... Z drugiej strony nie mogła ukrywać się w nieskończoność. Chwilę podumała, a potem – milimetr po milimetrze – ostrożnie uchyliła drzwiczki szafki.

Z największym trudem wygramoliła się z szafki; zdrętwiałe mięśnie bolały i stawiały opór, musiała zacisnąć zęby, żeby nie jęczeć. Wreszcie stanęła na czworakach na zimnej podłodze i próbowała się podnieść, udało jej się za trzecim razem. Kilka razy pokuśtykała w tę i z powrotem przez łazienkę, zrobiła też trochę wymachów ramion, kilka skrętów tułowia. Kiedy wreszcie ból nieco zelżał, a mięśnie zaczęły jako tako działać, rozejrzała się za czymś, na czym mogłaby stanąć.

Jedyną rzeczą, której mogła użyć, był wielki metalowy kosz na śmieci, zbyt ciężki, by zdołała go unieść, przechyliła go więc i potoczyła ku oknu. Rzucając co chwilę nerwowe spojrzenie w stronę drzwi, chwyciła oburącz za parapet, wspięła się na kosz i stanęła na nim, opierając stopy na jego przeciwległych brzegach. Kiedy przerzuciła jedną nogę przez parapet, zgubiła pantofel, a kosz przewrócił się z łoskotem, który spłoszył wszystkie koty w ciemnej alei. Rozległo się przeraźliwe

miauczenie, zdolne postawić na nogi bez mała całe Denver.

Lauren ze strachu poczuła przyływ adrenaliny. Błyskawicznie prześlizgnęła się przez okno niczym węgorz. Wylądowała twardo, zdzierając sobie skórę z dłoni i jednego kolana, lecz nawet nie poczuła bólu. Wstała, nie tracąc czasu na szukanie zgubionego pantofla, podciągnęła wysoko suknię i rzuciła się do ucieczki.

ROZDZIAŁ DRUGI

Agent specjalny Sam Szary Wilk Rawlins odgadł, że szykowało się coś naprawdę ważnego, gdy tylko wkroczył do gabinetu szefa FBI w Denver. Harvey Weiss siedział za biurkiem, kręcąc się i ostentacyjnie okazując zniecierpliwienie, podczas gdy bezpośredni przełożony Sama, Charley Potter, przechadzał się w tę i z powrotem. Obaj palili papierosy, podobnie jak trzej agenci – Todd Berringer, David Owens i Roy O’Connor – siedzący na ustawionych półkolem krzesłach. Pod sufitem wisiała chmura niebieskawego dymu.

– Czy żaden z was nie słyszał nigdy o raku płuc?

Harvey łypnął ponuro na wchodzącego.

– No, raczyłeś się wreszcie zjawić, Rawlins. Najwyższy czas. Gdzieś ty się podziewał, do diabła?

– Przez ostatnie pół godziny wlokłem się za pługiem śnieżnym. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale w ciągu ostatnich paru godzin spadło w Denver dobrych trzydzieści centymetrów śniegu.

– Gdybyś nie mieszkał na tym swoim zadupiu, byłbyś bardziej dyspozycyjny w podobnych sytuacjach. – Na twarzy Harveya odbiła się jeszcze większa dezaprobata, gdy popatrzył na dzinsy podwładnego, jego stetsona oraz znoszone kowbojskie buty.

Sam zignorował zarówno uszczypliwą uwagę, jak i krytyczne spojrzenie. Cóż, to problem Harveya, jeśli nie podobało mu się, gdzie on mieszka. W życiu nie przeniósłby się do miasta, potrzebował przestrzeni i powietrza.

Szef wskazał czwarte krzesło ustawione przed swoim biurkiem.

– Przez ciebie tylko marnujemy czas. Siadaj.

Sam rzucił na mosiężny wieszak kurtkę oraz kapelusz.

– Dziękuję, ale wolę postać tutaj. Tu przynajmniej jeszcze jest czym oddychać.

Harvey wypuścił kłęb dymu i spojrzał przez niego na Sama, mrużąc oczy.

– Niepalący są upierdliwi jak wrzód na dupie. Tylko że akurat ty nie masz prawa narzekać, bo to wy, Indianie, nauczyliście białych palić tytoń.

– Wiem. Moi krewni dotąd nazywają to zemstą czerwonego człowieka.

Roy i Dave parsknęli śmiechem, lecz wystarczyło jedno spojrzenie szefa, by natychmiast umilkli.

Harvey nigdy nie przepuścił okazji, by w uszczypliwy sposób odnieść się do pochodzenia nielubianego podwładnego. Sam nie czuł się do końca ani Indianinem, ani białym, lecz był dumny ze swego podwójnego dziedzictwa – bo tak to postrzegał – więc cokolwiek rasistowskie uwagi Harveya mocno działały mu na nerwy, nigdy jednak nie pokazał po sobie urazy.

– Bardzo śmieszne, Rawlins. Prawdziwy komik z ciebie. Skoro już pożartowałeś, to czy możemy wreszcie wziąć się do roboty?

Sam skrzyżował ramiona i spokojnie popatrzył na szefa.

– Pewnie. Mam tylko nadzieję, że nie wzywaleś nas na darmo, bo jest trzecia nad ranem, a w dodatku prawie odmroziłem sobie tyłek, jadąc tutaj.

Złość wykrzywiła rysy Harveya, lecz nim zdążył przywołać Sama do porządku, do rozmowy wtrącił się agent Berringer.

– A to czemu, stary? Znowu padło ci ogrzewanie?

Sam uśmiechnął się leciutko, niemal niezauważalnie. Todd był urodzonym rozjemcą, wtrącił się ewidentnie po to, by rozładować atmosferę.

– Nie znowu. Ciągle jeszcze nie wstało po poprzednim padzie.

– Jak to? Przecież mówiłem ci już kilka tygodni temu, żebyś złożył podanie, to ci naprawią – warknął Charley.

– Złożyłem. Trzy razy. – Sam spojrzał na Harveya. – Tylko z jakiegoś tajemniczego powodu moje podania ciągle giną.

– Do cholery ciężkiej, czy możemy wreszcie przestać zajmować się pierdołami i przejść do rzeczy?

– Jasne. Wal.

– Przed godziną policja zawiadomiła nas, że mają u siebie kobietę, która zeznała, że widziała na własne oczy, jak Carlo Giovesi zabił Franka Pappana.

Trzej agenci wyprostowali się gwałtownie, Sam nawet nie mrugnął okiem.

– Bez jaj! – Dave, najmłodszy ze wszystkich, aż pochylił się do przodu, tak podekscytowany, że jego rude włosy wydawały się jeszcze bardziej ogniste niż zazwyczaj.

– Co więcej, da się Giovesiemu udowodnić handel narkotykami. – Na twarzy Harveya malowało się ogromne zadowolenie z siebie, jakby to on sam zdobył owe dowody.

– Czemu Carlo miałby sprzątnąć własnego człowieka? – spytał Todd.

– Podobno Frank zaczął podprowadzać mu towar. Carlo wziął to sobie do serca.

– No ja myślę...

Dave wydał triumfalny okrzyk.

– Bomba! Nareszcie mamy drania!

– Nareszcie – przytaknął z uśmiechem Todd.

– Co to za kobieta? – spytał spokojnie Sam.

– Niejaka Lauren Brownley. Gra na fortepianie w „Club Classico”, to nocny lokal Giovesiego. Kiedy się tam pojawiła po raz pierwszy, policja sprawdziła ją po cichu, my zresztą też. Nie znaleźliśmy nic ciekawego, to zapewne najnowsza kochanka Carla, chyba jednak nie należy do jego siatki i nie jest zamieszana w nic nielegalnego. – Harvey rzucił dużą kopertę w kierunku Sama, który złapał ją zręcznie. – Tu jest jej dossier. Nie znam jeszcze wszystkich szczegółów, ale panna Brownley podobno nie tylko widziała morderstwo, ale też słyszała, jak Pappano podał adres magazynu, w którym schował podprowadzoną kokainę.

– Czemu kochanka Giovesiego miałyby na niego donieść? – spytał Sam.

Harvey rozłożył ręce.

– Nie znasz kobiet? Kto wie, co tak naprawdę nimi powoduje? Może między nią a Carlem zaczęło się coś psuć. Może chce zemścić się za coś. Może zaczęła na boku kręcić z Frankiem. W sumie co to za różnica? Najważniejsze, że wreszcie mamy naocznego świadka.

Todd aż gwizdnął.

– Wygląda na to, że Dave ma rację. W końcu dobierzemy się draniowi do skóry.

– Tylko wszyscy gęba na kłódkę – ostrzegł Harvey. – Tym razem ma nie być żadnych przecieków. Nikt poza nami sześcioma nie będzie o niczym wiedział, dopóki nasz świadek nie znajdzie się w bezpiecznym miejscu. Wy czterej pojedziecie teraz na policję i przesłuchacie tę kobietę. Jeśli rzeczywiście będzie brzmiało to wiarygodnie, przejmujemy sprawę. Todd i Roy, po przesłuchaniu weźmiecie ludzi i pojedziecie aresztować Giovesiego. Charley już wysłał Sweeneya po nakaz rewizji, magazyn jest pod obserwacją, zgarniemy tego, kto przyjdzie po towar. Jeśli dopisze nam szczęście, będzie to sam stary Carlo we własnej osobie. Pewnie wciąż jeszcze się gotuje po zdradzie Franka, więc niewykluczone, że pofatyguje się po swoją kokę osobiście. Rawlins, ciebie wyznaczam do pilnowania świadka, do pomocy daję ci Dave'a. Jeśli faktycznie jej zeznania dadzą nam haka na Giovesiego, wywieź ją jak najszybciej z miasta, zabierz w jakieś bezpieczne miejsce i trzymaj tam aż do procesu.

– Wyślij kogoś innego. Mam znacznie ważniejsze sprawy niż niańczenie słodkiej cizi Carla.

Harvey spurpurowiał, nachylił się i wycelował w Sama żółtym od nikotyny palcem.

– Słuchaj no, Rawlins. Zeznania tej kobiety mogą zaprowadzić Giovesiego za kratki i to na

długo, więc czy ci się to podoba, czy nie, zajmiesz się nią i dopilnujesz, żeby dożyła procesu, niezależnie od tego, ile by to miało trwać. Zrozumiano?

– Pracuję nad pewną sprawą, nie pamiętasz? Jestem już bliski jej rozwiązania.

Zapadło pełne napięcia milczenie. Trzej agenci jak jeden mąż odchrząknęli, zmienili pozycje, jakby nagle zrobiło im się niewygodnie. Charley Potter zacisnął zęby, wbił wzrok w podłogę.

Samowi przydzielono jakiś czas wcześniej najgorsze zadanie z możliwych, to jest najgorsze z punktu widzenia jego współpracowników, gdyż miał ich wszystkich prześwietlić i znaleźć dowód przeciw któremuś z nich, choćby miał ten dowód wykopać spod ziemi. Od lat biuro FBI w Denver próbowało wnieść akt oskarżenia przeciw Giovesiemu, lecz za każdym razem, gdy już wydawało się, że go mają, coś musiało pokrzyżować im szyki – a to zdematerializował się główny dowód rzeczowy, a to zginął świadek koronny, a to znieściska wypłynęły na jaw jakieś drobne uchybienia proceduralne popełnione podczas śledztwa, co natychmiast wykorzystywał adwokat Carla i wnioskował o umorzenie postępowania. Cała sprawa śmierdziała na kilometr, Giovesi ewidentnie miał w FBI pomocników.

Agent, który przeszedł na złą stronę, budził nienawiść kolegów, ale jeszcze większą budził ten, który próbował go wytropić, gdyż w ich zawodzie

podstawę sukcesu stanowiła praca zespołowa i nikt nie chciał wierzyć, że jego przyjaciel lub partner jest skorumpowany. Kiedy tylko ktoś zadawał niewygodne pytania, całe otoczenie natychmiast zjeżało się i gwałtownie broniło osoby, której wiarygodność próbowano podważyć. Sam starał się działać dyskretnie, lecz nie dało się utrzymać jego zadania w tajemnicy, więc wkrótce praktycznie tylko Todd i Charley nie omijali go jak trędowatego, reszta zaczęła go unikać.

Sam podejrzewał, że właśnie z tego powodu szef zlecił mu to zadanie, zamiast zgodnie z procedurą zwrócić się do odpowiedniej komórki w Dziale Spraw Wewnętrznych FBI. Harvey tłumaczył swoją decyzję osobistym zaangażowaniem w sprawę – skoro jeden z jego ludzi się sprzedał, to on musiał się z tym uporać za pomocą środków, jakie posiadał, a nie wzywać kogoś na pomoc. Jako dodatkowe uzasadnienie podał fakt, że nie mieli niezbitego dowodu na istnienie wtyczki, istniały tylko podejrzenia oraz ciąg przypadkowych zbiegów okoliczności. Oczywiście przemilczał fakt, że nikt w całym Biurze w żadne przypadki nie wierzył.

Zdaniem Sama szef zwałił mu tę robotę na głowę głównie po to, żeby zantagonizować go z pozostałymi agentami oraz kompletnie uprzykrzyć mu życie. Na szczęście był typem samotnika, więc nie dotknęło go to aż tak bardzo.

– Przyskrzynienie Giovesiego jest ważniejsze. Charley zgadza się ze mną w tej kwestii. Zresztą to on sam cię zaproponował.

Sam zmierzył swego bezpośredniego przełożonego nieprzychylnym spojrzeniem, na co Charley uniósł dłonie obronnym gestem.

– Sam, zanim cokolwiek powiesz, posłuchaj, co ja mam do powiedzenia. Jeśli ta kobieta jest kochanką Carla, będziesz miał kilka miesięcy na wyciągnięcie od niej informacji, które mogą nam pomóc między innymi w ustaleniu, którego z naszych Giovesi przekupił. Naprawdę warto spróbować. Nie sądzisz?

– Dokładnie – poparł go Harvey. – Nigdy nie wiadomo, co jej naopowiadał, kiedy leżeli razem w łóżku. Tak więc masz nowe zadanie, Rawlins.

– Dlaczego ja?

– Ty jeden znasz całą sprawę od podszewki i wiesz, o co toczy się gra. W dodatku ufam ci. Nie przepadam za tobą, Rawlins, ale mam do ciebie zaufanie. – Harvey zaciągnął się głęboko papierosem i wydmuchnął dym w stronę sufitu. – A teraz już was tu nie ma. Idźcie przesłuchać świadka.

Sam bez słowa zabrał z wieszaka kurtkę oraz kapelusz i wyszedł. Był już w połowie korytarza, gdy dogonił go Todd.

– Chryste, Sam, kiedy ty wreszcie zmadrzejesz i przestaniesz mu się stawiać? Przecież wiesz, że nie wygrasz.

– Ja się stawiam?

– Oczywiście. Robisz wszystko, żeby zaleźć mu za skórę i cholernie dobrze o tym wiesz. Popatrz no tylko na siebie. Wiesz, jaką wagę Harvey przykładą do odpowiedniego ubioru. Co by ci szkodziło wbić się w garnitur i krawat przed przyjazdem do roboty?

– Pieprzę Harveya. Mam wolny weekend, a w dodatku zgodę na wzięcie dnia urlopu. Oficjalnie nie jestem na służbie jeszcze przez... – spojrzał na zegarek – ...dwadzieścia siedem i pół godziny.

– No dobra, rozumiem, ale przynajmniej mogłeś się ogolić.

Sam przeciągnął dłonią po dwudniowym zarostcie, wzruszył ramionami.

– Zrobiłem sobie wolne, więc się nie goliłem. Jak chcecie mnie za to podać do sądu, wolna droga.

– Aleś ty uparty. Słuchaj, wiem, że go nie lubisz, ja też nie. Ale to szef.

Sam tylko parsknął drwiąco.

– Harvey Weiss jest nadętym sztywniakiem i tak naprawdę politykiem, a nie obrońcą prawa. Interesuje go głównie, do diabła, nawet nie głównie, tylko wyłącznie, czy dobrze wypadnie. Nie podejmie najmniejszej decyzji bez rozważenia, jak ona wpłynie na jego wizerunek i czy pomoże mu w otrzymaniu kolejnego awansu. Moim zdaniem zaplanował sobie, że zostanie szefem całego FBI gdzieś tak koło pięćdziesiątki.

– Może i tak, ale to jeszcze jeden powód więcej, dla którego powinieneś przestać mu się odgryzać.

– Te, Cochise!

Słyszając ten ryk za plecami, Sam zjeżył się jeszcze bardziej. Staął i obejrzał się powoli. Zobaczył za sobą pozostałych dwóch agentów i Charleya, a potem jego wzrok powędrował ku Harveyowi, który stał w drzwiach swego gabinetu, oczywiście paląc kolejnego papierosa.

– Co?

– Pamiętaj, co powiedziałem. Jak najszybciej wywieź dziewczynę z Denver i w ogóle ze stanu. Tym razem nie możemy sobie pozwolić na żadną wpadkę. Zabierz ją w bezpieczne miejsce, gdzie Carlo nie zdoła jej osiągnąć.

– Taki miałem zamiar. Coś jeszcze?

– Utrzymuj stały kontakt. Znasz procedurę, przynajmniej raz dziennie musisz zdać raport mnie albo Charleyowi. Nie kontaktujesz się z nikim innym.

– W porządku. – Sam odwrócił się, przeszedł parę kroków, wduśił przycisk windy, drzwi otworzyły się natychmiast, Todd szybko wślizgnął się do środka, jakby chciał zejść z linii ognia, lecz Sam odwrócił się jeszcze i spojrział na Harveya. – A skoro już przy tym jesteśmy, to masz błędne informacje. Cochise był Apaczem, a nie Nawaho jak moja matka. – Nie czekając na odpowiedź,

wsiadł do windy, walnął pięścią w guzik z napisem „parter”. – Dupek.

Lauren Brownley okazała się zupełnie inna, niż Sam się spodziewał. Ku jego zaskoczeniu – oraz irytacji – zrobiła na nim ogromne wrażenie, ledwie na nią spojrzał po raz pierwszy przez weneckie lustro. Nigdy przedtem nie zdarzyło mu się, żeby jakaś przesłuchiwana zawróciła mu w głowie, i to z miejsca. Wściekł się, ponieważ wcale sobie tego nie życzył.

Nie tylko on był pod wrażeniem.

– O rany – wyszeptał Dave.

Todd aż gwizdnął.

– Słuchajcie, zakochałem się.

– Ty? Naczelnny ogier całego FBI? – zakpił Sam. – Nie zakochałeś się, tylko napaliłeś.

– Wszystko jedno, w każdym razie powaliła mnie, nie kiwnąwszy palcem. A ty spędzisz z nią całe tygodnie. Cholera by to wzięła!

– Chętnie się z tobą zamienię miejscami.

Todd roześmiał się.

– Harvey powiesiłby nas obu za jaja. Chociaż... w tym jednym przypadku może byłoby warto zaryzykować. Niech cię szlag, Sam, ty to masz szczęście.

Towarzyszący im dwaj policjanci roześmiali się również.

– Faktycznie jest na co popatrzeć – mruknął

detektyw Allen Morgan, a porucznik John Dumphries skinął głową.

Sam zapatrzył się na widoczną przez lustro kobietę, zauważając każdy szczegół jej wyglądu.

Krażyła po pokoju przesłuchań niczym zdenerwowane zwierzę w klatce, ręce miała skrzyżowane, kurczowo przyciśnięte do ciała. Była niewysoka i drobnej budowy, w ostrym świetle jarzeniówek jej włosy połyskiwały niczym miedź.

Sam patrzył, jak kobieta podchodzi do weneckiego lustra, a kiedy znalazła się tuż przy nim, zobaczył, że miała zielone oczy, delikatne rysy i białą jak papier skórę, przy czym to ostatnie należało zapewne przypisać zmęczeniu po nieprzespanej nocy. I oczywiście strachowi, pomyślał beznamiętnie.

Nosiła długą do kostek wieczorową czarną suknię z przejrzystymi rękawami i – ku rosnącemu zaskoczeniu Sama – niedużym dekoltem. Żadnego pokazywania biustu, którego mógłby się spodziewać po dziewczynie z nocnego klubu. Na oparciu jednego z krzeseł otaczających stół wisiał aksamitny czarny żakiecik, obszyty czarnymi cekinami, który wraz z suknią stanowił strój nadający się raczej na wyjście do opery, a nie do popisów muzycznych w lokalu prowadzonym przez gangstera.

Chociaż sukienka była pognieciona, miała brudne smugi oraz dziurę na kolanie, nawet

nieznający się na ubraniach Sam potrafił dostrzec jej jakość. Przy każdym kroku przez rozcięcie z boku spódnicy było widać zgrabną nogę w podartej pończosze.

- Co się stało z jej butami? – spytał Sam.
- Podobno zgubiła je podczas ucieczki.
- Nie do końca jest w typie Carla – zauważył.

Do tej pory gangster preferował biuściaste blondyny o fatalnym guście, zaś ta dziewczyna, nawet bosa, brudna i zdenerwowana miała autentyczną klasę, której brakowało poprzednim kochankom Carla.

Porucznik odchrząknął.

– Jeśli o to chodzi, to panna Brownley twierdzi, że Giovesi jest jedynie jej pracodawcą, nikim więcej. Grywa w jego klubie tylko w weekendy, zaś w ciągu tygodnia uczy muzyki w college’u.

Jasne, pomyślał Sam. Kochanki Carla zawsze pracowały w jego klubie w takim czy innym charakterze, zapewne zatrudniał je w celu zamydlenia oczu swej żonie, gdyż jeśli w ogóle kogokolwiek się obawiał, to właśnie Sophii Giovesi.

– Co o niej wiecie?

– Niewiele. Mamy jej prawo jazdy i adres, tu jest jeszcze raport wstępny i stenogram jej zeznania. – Porucznik Dumphries podał Samowi teczkę z aktami.

– Mówi ci coś ten adres? – spytał detektyw Morgan, gdy Sam rzucił okiem na pierwszą stronę.

– Owszem.

Panna Brownley mieszkała w luksusowym apartamentowcu, którego właścicielem był nie kto inny, tylko sam Carlo Giovesi.

– Do tego nasz świadek jeździ nowiuteńkim lexusem.

– No to wszystko pasuje.

Raport policyjny tylko potwierdzał informacje, które Sam już znał z raportu FBI. Agenci odkryli ponadto, że Lauren Brownley w piątki i soboty zostawała sama z Giovesim jeszcze przez parę godzin po zamknięciu lokalu, zaś w środy wieczorem Carlo odwiedzał ją w jej mieszkaniu. I to się nazywa, że ona tylko u niego pracuje, pomyślał z drwiną Sam, a potem kąciki jego warg drgnęły leciutko. Ciekawe, jak Carlo tłumaczył się z tych wieczorów przed żoną? Powiedział, że regularnie chodzi na kręgle, bo nagle zapragnął wziąć udział w zawodach i musi ćwiczyć?

– Nasi ludzie śledzili ją parę razy, rzeczywiście chodziła na uczelnię, więc może faktycznie czegoś tam uczy.

Sam skrzywił się. Agenci FBI też przeszli się za nią parę razy, ale ponieważ nie wyglądało na to, by maczała palce w jakiegokolwiek nielegalnej działalności, nie przyjrzano się jej gruntowniej, nie zbadano jej przeszłości, nie sprawdzono, czy jeszcze gdzieś nie pracuje. Zdaniem agentów była po prostu kolejną lalą Carla, która dla kaprysu chodziła na jakieś wykłady.

– Czy ktoś już sprawdził, czy naprawdę jest zatrudniona na uczelni?

– Nie, wstrzymaliśmy się z wszelkimi działaniami, dopóki jej nie przesłuchacie.

– Dobra. – Sam z trzaskiem zamknął teczkę i ruchem głowy wskazał pokój przesłuchań. – No to bierzmy się za nią.

ROZDZIAŁ TRZECI

Lauren zrobiła kolejną rundę wokół pomieszczenia. Gdzie się wszyscy podziali? Czemu to tyle trwało?

Zatrzymała się i popatrzyła na szerokie lustro obok drzwi. Czy stali za nim i przyglądali jej się – tak, jak wielokrotnie widziała na filmach? Tylko dlaczego mieliby to robić? Czyżby podejrzewali ją o kłamstwo? A może porucznik Dumphries i detektyw Morgan pojechali do „Club Classico” po ciało? Nie znajdą go, mówiła im przecież, że zbiry Carla już zdążyły pozbyć się dowodu zbrodni. Ale skoro policja niczego nie znajdzie, to jak ma jej uwierzyć?

Odwróciła się od lustra i znów zaczęła krążyć po pomieszczeniu. Co ona w ogóle robiła w tym miejscu? Nigdy w życiu nie była na policji. Jak mogło do tego dojść, że siedziała przez całą noc

w pokoju przesłuchań? Jęknęła i znowu rzuciła spojrzenie na lustro, tym razem w po to, by popatrzeć na siebie z dezaprobatą.

– To wina twojej własnej głupoty i naiwności – mruknęła. – Tylko sobie zawdzięczasz, że wpadłaś w bagno.

A przecież od dawna widziała niepokojące oznaki. Już dwa lata wcześniej, kiedy leżała w szpitalu, gdzie złożył jej wizytę nieznany jej wówczas pan Giovesi, pielęgniarki napomknęły dyskretnie o jego wątpliwej reputacji, Lauren jednak nie chciała słuchać żadnych ostrzeżeń, gdyż wierzyła, że ktoś o tak nieskazitelnych manierach może zasługiwać wyłącznie na szacunek. W jej oczach był uroczym starszym panem, dżentelmenem w każdym calu.

Westchnęła. Wierzyła, bo chciała w to wierzyć. Giovesi pojawił się w jej życiu w momencie, gdy znalazła się zupełnie sama, kompletnie zagubiona, pozbawiona środków. Pomógł jej – on jeden. Był przy niej, gdy rozpaczliwie potrzebowała kogoś bliskiego, dlatego przymykała oczy na wszystko, czego nie chciała widzieć. Przychodziło jej to o tyle łatwo, że Carlo nieodmiennie traktował ją ze staroświecką galanterią, okazując jej podziw i szacunek, a do tego wszystkiego uwielbiał muzykę klasyczną.

Lauren z jękiem wczepiła ręce we włosy. Tak jakby miłość do muzyki świadczyła o dobrym charakterze!

Jak mogłam być tak ślepa i głupia?

Była tak zdenerwowana, że gdy za jej plecami otworzyły się drzwi, aż podskoczyła. Odwróciła się gwałtownie, ujrzała sympatycznego detektywa Morgana, który dał wiarę jej słowom, oschłego porucznika Dumphriesa, który nie krył sceptycyzmu oraz czterech innych mężczyzn. Trzej byli ubrani w tradycyjne ciemne garnitury, lecz zwróciła uwagę praktycznie tylko na czwartego z przybyłych, wyższego od pozostałych.

Włosy i głęboko osadzone oczy miał czarne jak noc. Parudniowy zarost ocieniał dolną połowę jego twarzy o ostrych rysach. Wyglądał na twardego jak skała. Ponieważ przewiercał ją wzrokiem, co jeszcze bardziej wytrąciło ją z równowagi, czym prędzej przeniosła spojrzenie na detektywa Morgana.

– Cieszę się bardzo, że pan wrócił. Czy pan Giovesi został aresztowany? Czy mogę już wracać o domu?

– Obawiam się, że jeszcze nie. Panno Brownley, zechce pani usiąść? Ci panowie przyszli zadać pani parę pytań. To agenci Todd Berringer, Roy O'Connor i Dave Owens oraz agent specjalny Sam Rawlins. FBI.

– FBI? Nie rozumiem. Od kiedy FBI zajmuje się morderstwami?

– Proszę się nie niepokoić. – Jeden z agentów posłał jej czarujący uśmiech. – Zazwyczaj jest tak,

jak pani mówi, lecz w tym wypadku zachodzą pewne dodatkowe okoliczności.

– Agent Berringer próbuje powiedzieć, że kiedy podejrzanym jest znany gangster zamieszany w handel narkotykami, mamy do czynienia z przestępstwem federalnym. Od dawna usiłujemy wsadzić pani przyjaciela do więzienia.

– Proszę, niech pani siada. – Todd Berringer odsunął dla niej krzesło, a gdy usiadła, nalał jej do szklanki wody ze stojącego na stole dzbanka. – Czy mogłaby nam pani dokładnie opowiedzieć, co się stało?

Znowu zerknęła na detektywa Morgana.

– Nie rozumiem, przecież policja już mnie przesłuchiwała. I to dwa razy.

– A teraz my panią przesłuchamy – uciął bez cienia współczucia człowiek o jastrzębich rysach. – Najpierw chcielibyśmy się o pani czegoś dowiedzieć. Od jak dawna pracuje pani w „Club Clasico”?

– Od dwóch miesięcy.

– A jak długo zna pani pana Giovesiego?

– Spotkałam go dwa lata temu.

– Jak się państwo poznali?

– Przyszedł mnie odwiedzić w szpitalu po tym, jak miałam wypadek samochodowy.

Robiący notatki Sam uniósł głowę.

– Czemu miałby odwiedzać panią w szpitalu, skoro pani nie znał?